Rok II. Kraków, dnia 16 lutego 1870. Nr. 4.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA wynosi: rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY i PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: *Do redakcji* „**Włościanina**“ Ulica Florjańska l. 334.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 cent. za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 centów za stempel, za każdo-razowe umieszczenie.

NAJŚWIĘTSZA PANNA CZĘSTOCHOWSKA

czyli

CUDOWNE OCALENIE

OD ŚMIERCI

(Opowiadanie dziadusia).

Kiedy już doreszty Polskę rozebrano w 1795, a ostatni król polski Stanisław August opuścić musiał ojczystą ziemię i naród nad którym panował, moskale na dobre rozgospodarowali się w ziemiach Polski i rozpoczęli gnębić i prześladować naszych przodków tak samo, jak dziś braci naszych prześladują. Dopomagali im w tem Prusacy, a i Austrjacy nie wyłączyli się od tego. — Chociaż już nie było polskiego króla na tronie, chociaż wrogowie przydeptali naród krociami wojsk swoich, przecież ojcowie nasi nie tracili ducha, ale zaczęli się krzątać około odbudowania ojczyzny.

Właśnie pod ten czas zjawił się we Francji Napoleon Bonaparte, syn adwokata, który odwagą i rozumem swoim ze zwykłego oficera, stał się dowódzcą całego wojska francuzkiego, a nareszcie cesarzem. Był on stryjem dzisiejszego cesarza Napoleona.

Otóż ten Napoleon, prowadził wojny prawie z całym światem, a wszędzie i wszystkich pobijał. Dużo on potrzebował ludzi do prowadzenia tych wojen, a wszyscy spieszyli pod jego rozkazy i kochali go wielce, bo i on kochał swych żołnierzy, a był dla nich zawsze sprawiedliwym. Ojcowie nasi widząc, że to taki wódz potężny, opuszczali ojczyznę, a spieszyli do niego, żeby mu pomódz wojować, a to dla tego, ażeby on dopomógł im zato wypędzić wrogów z ojczyzny. Jak się już dużo zebrało polaków, Napoleon dał im za dowódcę jenerała Dąbrowskiego, który utworzył z polaków tak zwane legiony. Legiony te polskie wszędzie szły z Napoleonem, wszędzie biły się odważnie, bo wierzyły w to, że za ich krew przelaną Polska do dawnej chwały powróci. — Te to legiony śpiewały zawsze:

Jeszcze Polska nie zginęła
Póki my żyjemy;
Co nam obca moc wydarła
Mocą odbierzemy.
Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do Polski —
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Nie odbudował Polski Napoleon, ale po szczęśliwej wojnie z Prusami w r. 1807, utworzył księstwo warszawskie, które miało rząd polski i wojsko polskie, tylko że Polską się nie nazywało. Księciem Warszawskim został król Saski. Księstwo to małe było, bo składało się tylko z kawałka ziem polskich, odebranych prusakom i moskalom. Napoleon wojował i wojował szczęśliwie, aż wreszcie zebrał liczne wojska i pociągnął na moskala. Tutaj poszła sprawa nieszczęśliwie. Myślał Napoleon, że jego liczne wojska dotychczas wszędzie zwycięzkie i nadal przezwyciężą wszystko. Wybrał się na moskiewską wojnę w zimowej porze. A zima w moskiewskich krajach, to nie taka jak u nas. Śniegi w pas zawieją, to mróz ściska, że zdaje się śpik w kościach zamrozi. Taką zimę to tylko moskal przetrzymać może. Niewytrzymało jej Napoleońskie wojsko i wyginęło ale nie od moskiewskich kul, od moskiewskiej broni, ale wśród śnieżnych zawieji śród wichrów i mrozu. Działo się to w roku 1812. Prawie całe wojsko Napoleona wyginęło, a niewielka pozostała reszta cofnąć się musiała. Wtenczas odstąpili Napoleona monarchowie, którzy przedtem z nim trzymali i z przyjaciół stali się wrogami. Boć jak to zwykle na świecie się dzieje, że na krzywe drzewo każda koza włazi, że w szczęściu znajdziesz zawsze przyjaciół, a w nieszczęściu każdy cię opuści. Bronił się Napoleon do ostatka, ale kiedy się wszyscy przeciwko niemu sprzysięgli, utrzymać się nie mógł i musiał złożyć koronę cesarską, a na

odludnej zamieszkać wyspie. Z upadkiem Napoleona nie długo upadło i księstwo Warszawskie, a zamiast niego utworzyli monarchowie tak zwane królestwo polskie, które poddali pod zarząd moskiewskim carom. To królestwo polskie utworzono jak na urągowisko polakom, bo z całych polskich krajów, zaledwie część szóstą królestwem nazwano. A jak tam w tem królestwie teraz się dzieje, to o tem już wiecie.

O tych to czasach Napoleońskich, o których wam tu w krótkości powiedziałem, następuje opowiadanie dziadusia, które mi co do słowa jeden z moich znajomych, kmieć z pod Krakowa powtórzył.

Usiedliśmy wieczorem koło komina, a dziaduś tak poczęli prawić:

Kiedyśmy dostali rozkaz do wymarszu, nie jednemu zrobiło się smutno na sercu; ten miał ojca, ten siostrę, ten żonę, a wszystko to schodziło się na pożegnanie; szlochały niewiasty, ściskali się mężczyzni, ja nie miałem kogo żegnać, bo wszyscy moi zostali we wsi, więc jakoś trzymałem się ostro wychodząc z Warszawy, ale gdyśmy stanęli w mieście Wschowie, na granicy polskiej — okrutnie mnie ścisnęło za serce — bom sobie pomyślał: Mocny Boże, może też już nigdy nie ujrzę swoich; kule nie przebierają na wojnie, któż wie, może mię też cudza ziemia przysypie.

Ale poleciwszy się Najświętszej Panience Częstochowskiej, tej Królowej naszej, pożegnałem się i ruszyłem śmiało naprzód, wziąwszy tylko trochę ziemi w szmatkę, żeby mi nią chociaż oczy przysypali, jak mię będą chowali w cudzych krajach, i medalik Królowej Nieba, poświęcany na Jasnej Górze, który mi nieboszczka matka umierając, na szyi zawiesiła.

Szliśmy przez Niemcy — prosto na Drezno, kędy mieszkał nasz Warszawski Książe, co nam zamiast Króla panował. Markotno mi było bardzo, bom się z ludźmi zmówić nie umiał: a i zazdrość mnie brała, bo kędy spojrzysz, wszędzie wsie porządne, role gęstem zbożem zarosłe, bydło jak oblane — mój Boże, czemuż to u nas taka bieda, a u niemców taki dostatek, a kiedym się spytał naszego wachmistrza, przez co się tak dzieje, odpowiedział mi:

— Widzisz rekruckie mięso, niemiec dużo robi i wiele zarabia, a grosza nie puszcza jak nasi chłopi; w karczmie jak się Niemcy zejdą, to dziesięciu z jednego półkwaterka pije — otóż przez to taki u nich dostatek— kiebyśmy chcieli tak jak oni pracować i szanować pieniędzy, tobyśmy ich ze wszystkiem zakasowali — bo u nas i lud mocniejszy i szykowniejszy do roboty i lepiej ma we łbie, tylko że ciemny i za bardzo gorzałki pilnuje.

Sprezentowaliśmy się księciu i poszliśmy w dalszą drogę. Minęli Saksonję i weszli do Hessji, a potem nad francuzką granicę. Wszędzie kędy nasze wojsko maszerowało, niemcy z podełba na nas patrzyli za to, że trzymamy z francuzem, ale nic nam nie mówili, bo się jeszcze wtedy bardzo bali potęgi cesarza francuzkiego Napoleona.

Skoro weszliśmy do Francji, tak znowu inne widowisko — naród nie taki powolny jak niemcy, ale krzykliwy, gwarliwy i bardzo ucieszny — szwargotali wciąż do nas, ale bieda, bom się z niemi nijak rozmówić nie potrafił; tylem się tylko dowiedział, że na wódkę mówi się *Ludwig*, a na chleb, to bardzo szpetnie i grzesznie wołają.

Staliśmy przez kilka dni w Paryżu — Święty Boże! cóż też to za ogromne miasto, toć sto razy łatwiej w niem zabłądzić jak w lesie.

Poszedłem z Maćkiem z Leszek, co razem ze mną w jednym szwadronie służył — wachmistrz nam pozwolił na cztery godziny, pogawronić się po Paryżu.

Z początku szło dobrze, bośmy sobie dobrze zważali ulicę — ale jakeśmy się zaczęli gapić to po sklepach, to po ulicach, to po kościołach, tak aniś się obejrzał jak zleciało. Czas już wracać, a ja pytam Maćka:

— Trafisz ty, bo mnie się jakoś we łbie miesza.

— O cobym nie miał trafić, odrzeknie mi, a czym ja to pił co, żeby mi się mieszało we łbie.

Ha idziemy, idziemy wciąż, a tu nam się jakoś ciągle myli, tem bardziej że strach, bo już godzina do powrotu nakazana, minęła.

Błąkaliśmy się tak przez cztery godziny, aż wreszcie Pan Bóg na nas zesłał na ratunek porucznika Rudowskiego, który nas doprowadził do koszar. Wachmistrz okrutnie był rozgniewany i chciał nas wpakować na dwadzieścia cztery godzin do aresztu, ale nas porucznik Rudowski wyprosił.

Niedługo dali nam odpoczywać w Paryżu, znowu przyszedł rozkaz od Cesarza, aby maszerować do Hiszpanji. Nowa wojna zaczęła się w tym kraju. Napoleon zrzucił z tronu Króla Hiszpańskiego, a na jego miejsce brata swego Józefa Królem uczynił, i myślał że już na tem koniec — ale się okrutnie omylił. Hiszpanie, to z pozoru naród nieruchomy i miękki, na chwilę ulegli, ale potem zerwali się do broni i króla Józefa, ze stołecznego miasta Madrytu wygnali i tak poczęli ze wszystkich stron szarpać francuzów, że wojsko musiało cofać się ku granicy, dużo luda straciwszy.

Tedy Cesarz Napoleon, bardzo się rozgniewał na hiszpanów i zgromadziwszy ogromne wojska, umyślił sam iść na nich i panowanie swego brata przywrócić, a jego nieprzyjaciół karać.

Otóż to z tem cesarskiem wojskiem ruszyliśmy na hiszpanów, którzy prawdę powiedziawszy, nic nam nie zawinili.

Między Francją a Hiszpanją są ogromne góry, nazywające się Pireneje, na nich przypada granica i tamtędy przeprawialiśmy się do Hiszpanii.

Niezmierne chmary wojska francuzkiego ciągnęły gościńcami — piechota, jazda i harmat ogromne mnóstwo; zdawało się, że tem wojskiem można cały świat zawojować. Nieraz gadaliśmy między sobą, po co cesarz Napoleon pędzi tyle ludzi do Hiszpanji, toć i połowa aż nadto. A przecież pokazało się potem, że i tego było zamało na hiszpanów.

Dopókiśmy szli francuzkim krajem, wszystkiego było poddostatkiem, i żywności dla ludzi i furażu dla koni i rozmaitych potrzeb wojskowych, bo cesarz wszędzie kazał pozakładać magazyny; ale skoro stanęliśmy raz na hiszpańskiej ziemi, to jakby uciął, hiszpanie nic nie chcieli dobrowolnie dawać i trzeba im było przez gwałt wydzierać. Przyszedłeś do wsi, to wieś pusta, ani żywej duszy — stodoły i szpichlerze puste jak wymiótł, czemże pożywisz siebie i konia. Więc trza było dużemi oddziałami, po parę tysięcy ludzi o kilka mil w bok, za furażem jeździć, a suchary i inną żywność z Francji prowadzić, a to kosztowało bardzo wiele pieniędzy.

Najpierwszą batalję mieliśmy pod miastem Espinoza, tutaj pierwszy raz usłyszałem jak kulki grają. Później już tom się przyzwyczaił, ale z początku to myślałem żem w piekle. Zbiliśmy hiszpanów porządnie i jakoś mi Pan Bóg dozwolił wyjść szczęśliwie z bitwy onej. Niedługo potem była druga pod Tudelą i tu przepędziliśmy hiszpanów. Broniło się to z razu, ale jak było tylko ostrzej docierać, to umykali na wszystkie strony jak wróble z drogi, kiedy wóz nadjeżdża.

Więc i ja cieszyłem się bardzo, bo widziałem, że to z hiszpanami łatwa będzie sprawa i wnet się wojna skończy. Nie podobało mi się w tym kraju z różnych przyczyn i radbym jak najprędzej był wrócić do ojczyzny.

A najprzód, że anim ja znał dawniej, anim widział, anim słyszał o hiszpanach, żebym ich miał bijać. Drugie po hiszpańsku jednego nie umiałem słóweczka, więc ani się rozmówić, ani człeka nie zrozumieli. Trzecie, że

mi się kraj nie zdawał, bo tylko góry i skały. I u nas tam tego nie braknie, ale nasze góry prześliczne, ziemia na nich urodzajna, a tu wszystko jałowe, nieuprawne; w zimie śniegu mało wkiedy ujrzysz, tylko deszcz psoci i psoci, bo tam prawdziwie jakby zimy całkiem nie było: a znów jak przyjdzie lato, to słońce pali i pali, że ani wytrzymać; a trawy po górach i równinach powypala, rzeczki powysusza, jeno ci kurzawa wyżera oczy.

A wreszcie i to mi się niepodobało, że ludzie jakoś na nas brzydko patrzeli z podełba: przyszedłeś do wioski, to wieś pusta, ani żywego ducha, a żywność tak pochowana, że trzeba było dobrze się napocić, zanim co znalazłeś. — W miastach znowu domy pozamykane, że nie raz trzeba było drzwi wybijać. Służba przytem ciężka, więc mi się też ta hiszpańska wojaczka całkiem nie zdawała.

Jedna rzecz co mi się bardzo spodobała w Hiszpanji, to że lud bardzo pobożny i kościoły i nabożeństwa piękne. Przez całą drogę jakem szedł przez Niemcy, wszędzie Ewanielicy, więc człek ani mszy św. niewysłuchał. We Francji znów jakoś się wtedy niebardzo modlili, dopiero w Hiszpanji zdawało mi się, żem jest w Polsce, taki naród bogobojny.

Po tych dwóch bitwach, szliśmy prosto na Madryt. Ale nam na drodze stanęły góry, gęsto hiszpanami obsadzone.

Wystawcie sobie moi chłopcy wysokie bardzo skały. Nigdzie żadnego dostępu niema, tylko jedna kręta droga w skale wykuta, taka wązka, że ledwie dwóch żołnierzy na koniach mogło obok siebie jechać.

Pamiętam jak dziś. Było to w sam dzień świętego Andrzeja apostoła. Ranek był zimny i mglisty — Na równinie cicho i spokojnie, jeno chrzęst od wielkich gromad wojska, z gór znowu ciągle słychać było harmatnie strzały.

Widziałem wtedy pierwszy raz cesarza; mnie się zdawało że cesarz to musi w koronie i z berłem siedzieć na koniu — tymczasem był ubrany w szarej kapocie i trójkanciastym kapelusiku. — Jeździł po przed szeregami, i ciągle tabakę zażywał. A nasz wachmistrz widząc to powiada:

— Oj źle, bo Cesarz coś zabardzo tabakę zażywa, musi być zły.

W tem od gór wylata jakiś oficer i pokłoniwszy się, prawi coś cesarzowi, ten z gniewem machnął ręką, spiął konia ostrogami, wylata przed nasz pułk i coś rozkazuje pułkownikowi Kozietulskiemu. Pułkownik skłonił się, przypadł przed front i wydał rozkazy kapitanom — a za chwilę nasz kapitan Dziewanowski zawoła: „Rotami od prawego — naprzód — stępa! marsz!"

Pułk ruszył ku wązkiej skalistej drodze. Pułkownik przybiega, staje przed naszym szwadronem i woła:

„Cesarz rozkazał nam zdobyć baterje hiszpańskie. Pokażcie chłopcy co umiecie! Naprzód! niech żyje Cesarz!"

Jak wiatr pędzimy za pułkownikiem, aż się iskry z pod kopyt sypią. Po przeleceniu kilku staj, patrzym, a tu w poprzek droga zawalona i harmaty stoją — my naprzód — hiszpanie jak urżną kartaczami — pada dużo ludzi i koni, ale my przez trupów — naprzód i już hiszpańskie armaty w naszem ręku — pułkownik spadł z konia, kapitan Dziewanowski woła: Marsz! marsz! — więc my w cwał pod górę, a tu znowu druga baterja. Padł kapitan przy tej drugiej — więc Niegolewski porucznik bierze trzecią, czwartą — wiele ich tam było, już nie wiem, bo mi się na nic pomięszało w głowie — jenom rąbał na wszystkie strony, a oddawał się opiece Matki Boskiej Częstochowskiej. Oj ciasno było. Z całego szwadronu co na nas było 130, ledwie się jeszcze 30 broniło, a stu padło na placu. Hiszpany widząc taką garść, ze wszystkich stron na nas, i bylibyśmy pewnie wyginęli, ale przypada drugi szwadron na pomoc i wóz zdobyty. Oj nie zapomnę nigdy jego nazwiska — nazywał się *Sommosierra.*

Po bitwie sam cesarz przypiął ordery pułkownikowi i kilku oficerom — mnie się tam nic nie dostało, ale wachmistrz zarobił też krzyżyk.

Po zwycięztwie pod Sommosierrą, pomaszerowaliśmy prosto do Madrytu. Były tam różne parady, illuminacje, na cześć cesarza, ale niedługo on zabawił z nami. Rozeszła się wieść, ze cesarz austrjacki zbroi się do nowéj wojny z Napoleonem, więc zostawił nam na dowódzców swoich marszałków, niby najstarszych generałów, a sam co najprędzej do Paryża odjechał.

Odtąd zaczęła się straszna wojna z hiszpanami. A nie wojna zwykła, ale bardzo uciążliwa, bo nieprzyjaciel niechciał się z nami wdawać w bitwy i nie mogliśmy go nigdzie dopaść, ale tylko mniejsze napadał oddziały, które mógł łatwo pobić. — A co jeszcze najgorsza, że król angielski przysłał hiszpanom wojska swoje na pomoc.

Otóż teraz wam opowiem moje dzieci, jako mnie cudownym sposobem ocaliła od śmierci Najświętsza Panienka.

Trzeciego roku hiszpańskiej wojny, pomaszerowaliśmy do jednéj prowincji, która się nazywa Andaluzja. Bardzo to piękny kraj, gdyby ogród; pomarańcze i cytryny rosną tam w sadach i gajach jak u nas jabłka. — Kwiaty jakieś prześliczne kwitną po polach i skałach. Środkiem płynie rzeka Gwadjana, a miasto téj prowincji nazwiskiem Sewilla, jest duże i ma prześliczne kościoły.

Z komendy wyższej przyszedł rozkaz, żebyśmy pomaszerowali za furażem. Wysłano dwa plutony, to jest około 70 ludzi francuzkich dragonów i z naszego plutonu podoficera z sześciu ludźmi, między którymi i ja też byłem.

Przyszliśmy na nocleg do wsi o dwie mile od obozu odległej. Wieś była duża, a mieszkańcy jacyś grzeczni i gościnni. Co prawda, nie podobało się to naszemu podoficerowi. Stary ten wąsal służył już 18 lat w naszem wojsku, był i w Egipcie i kędy pieprz rośnie w San-Domingo, gdzie się bijał z murzynami, więc jakoś krzywił się i nierad był tym hiszpańskim grzecznościom.

— O co wam chodzi, panie podoficerze, spytałem go, toć to cud prawdziwy, hiszpany nam znoszą jadło i wino, a radzi nam z duszy.

— Głupiś, rzecze mi na to, nie widzisz, że te urwisze jakąś zdradę knują, nie jeść, nie pić nic, aż ja wam pozwolę, konie i broń mieć w pogotowiu, bo tu będzie jakaś brzydka awantura.

— Ej przecież oni tacy przyjacielscy, gdzieby zaś myśleli o zdradzie.

— Będziesz widział, jak oni nas tu wyprzyjaźnią. Powiedziałbym kapitanowi francuzkiemu, ale nie śmiem, boby się mógł zgniewać, przestrzegałem podoficerów, a nawet wachmistrza, ale oni śmieją się ze mnie.

Trzeba wam wiedzieć moi mili, że służąc z francuzami przez trzy lata w Hiszpanji, nauczyłem się trochę i po francuzku i po hiszpańsku, tak że od biedy mogłem się rozmówić. Podoficer lepiej jeszcze umiał odemnie.

— Panie podoficerze, rzeknę, pójdźmy jeszcze raz do nich, trzeba ich ostrzedz, bo i sami siebie zgubią i nas przy sobie.

— A no pójdź, mruknie wąsal, ale się to na nic nie zdało.

Idziemy tedy ku karczmie, co się po tamtejszemu nazywa *Venta.* Wchodzim do izby, za stołem siedzi wachmistrz francuzki i pięciu podoficerów, i piją wino, a twarze już im się poczerwieniły od trunku. Trzech hiszpanów usługiwało pijącym.

— Otóż i kamerady, zawoła wachmistrz po francuzku, no siadajcie i pijcie z nami.

— Siąść to siądę, powie podoficer, ale pić nie będę.

— A to czemu, krzyknie jeden francuz.

— Bo nas tu nie wiele, a tym hiszpanom źle z oczu patrzy.

— Kiedy ci się nie podobają, to ich wyrzucim za drzwi, zawoła wachmistrz.

— Ba, i ja to potrafię, ale tu niema co zaczepki szukać — ot pójdźcie do klasztoru, gdzie stoi cała komenda, w razie napadu prędzéj się obronimy.

— Ha! ha! ha! zaśmiał się wachmistrz, te bydlęta śmiałyby nas zaczepiać? Otóżbyśmy im kąpiel sprawili.

Hiszpan jeden znać zrozumiał, bo spojrzał brzydko i poszeptał coś do swoich, a oni tylko rozśmiali się, i wyszczerzyli białe zęby, gdyby wilki.

Widziałem ja to dobrze, widział i podoficer i tylko mruknął do mnie po polsku: „Widzisz jak sobie bestje robią na nas apetyt.“

Ale francuzi nic nie zważali, pili tylko i pletli, a ja tymczasem jakoś zamyśliwszy się, wyjąłem medalik Najświętszéj Panny Częstochowskiéj i serdecznie pocałowałem.

Ujrzał to wachmistrz i zapytał mię, co to znaczy.

— To rzekłem, jest wyobrażenie Matki Boskiej Częstochowskiej, opiekunki i patronki naszéj.

Francuz podpiły począł się śmiać i przedrwiwać moje nabożeństwo.

Rozgniewałem się i jak umiałem, takem bronił naszéj Świętej Panienki. Pomagał mi i podoficer, a wachmistrzowi reszta francuzów, i z tego zaczęła się kłótnia na dobre, tak żeśmy się do szabel porwali i byłoby przyszło do bitki, ale nagle wszedł do izby porucznik od dragonów, nawymyślał nam i popędził do domu.

Uważałem ja, że podczas kłótni, hiszpanie bardzo brzydko patrzeli na francuzów, a na nas tak pięknie jakby nam dziękowali, żeśmy się za Królową Nieba ujmowali.

Przyszliśmy do klasztoru, a tam wszyscy dragoni byli podcięci, bo też wina było co niemiara, a choć starszyzna pić zabraniała, to nieustrzegli tego, bo jak żołnierz chce łyknąć, to i łyknie.

Jakoś po tej sprzeczce z francuzami, nie mogliśmy przyjść do siebie, podoficer wciąż wymyślał, i to szczęście, żeśmy osobną mieli kwaterę, boby może i przyszło do jakiej historji.

Koledzy ułani wieczerzali, kiedyśmy przyszli, zasiedliśmy razem do jadła, ale nam jakoś suchary nie lazły do gardła — więc podoficer rzeknie:

— Kazimierz, masz tu dwa reale (tak się pieniądz tamtejszy nazywa) idź do *Venty* i przynieś wina, wypijemy po szklance z kolegami, tylko się wracaj, bo to już i wieczór zaraz, a pilnuj się żeby gdzie z za chałupy nie palnął hiszpan do ciebie.

Zaszedłem do karczmy i kazałem sobie dać dzbanek wina, — hiszpanie bardzo grzecznie mi usłużyli, a karczmarz sam rzeknie:

— Żołnierzu, czy ty jesteś katolik?

— Katolik prawdziwy, odpowiedziałem.

— A z którego kraju?

— Z Polski.

— I dla czegóż służysz u francuzów, kiedy oni w Pana Boga nie wierzą?

— Ha! służę, bo mi tak wypada, bo nasz książe warszawski trzyma z cesarzem francuzkim.

A on popatrzył na mnie i powiedział:

— Bardzo pięknie, żeś się ujął za honor Najświętszéj Matki, Pan Bóg ci za to pobłogosławi — szkoda tylko, że francuzowi służysz.

Więc ja mu na to:

— Mój karczmarzu, a co nam tam do tego — żołnierz musi starszego słuchać, i my też niebardzo radzi siedzieć tu w waszej Hiszpanji, ale darmo. Na francuzów macie złość, ale żebyście byli w ich kraju, tobyście widzieli, że i u nich są kościoły i księża i oni się modlą:

Hiszpan się rozśmiał szkaradnie, a potem oddawszy mi pieniądze, wsadził dzbanek w ręce i wyprawił do domu.

Za powrotem opowiedziałem wszystko podoficerowi, a stary wąsal wysłuchawszy rzekł:

— Głupiś że się wdajesz w gawędy z hiszpanami, a jeszcześ głupszy, żeś pieniądze przyjął — ja mu je jutro sam oddam.

Wypiliśmy po szklance wina, a potém postawili mię na warcie przed klasztorem. Nie wiem co w tem było, ale mię okrutnie sen morzył — i chodziłem i śpiewałem, a przecież wciąż mi się lepiły oczy....

Na drugi dzień rano, nie wiem jakim sposobem, otworzywszy oczy, zamiast na warcie, ujrzałem się w wielkim refektarzu klasztornym. Chcę się zerwać na nogi, a tu ani rusz, czuję żem związany jak baran — szarpię się co sił i ledwiem tyle zrobił, żem się zdołał, obrócić na bok.

O Boże w Trójcy Przenajświętszéj jedyny, cożem ja ujrzał.. Cały refektarz był krwią zalany i leżało mnóstwo trupów bez głów, a wszystko w francuzkich ubiorach — na stole zaś długim, leżeliśmy my powiązani ale z głowami — zcierpnąłem cały, a podoficer widząc, że się ruszam, zawoła:

— Kazimierzu! patrz co te bestije hiszpany porobiły — a nie mówiłem, że będzie nieszczęście.

Jakoś po długiéj mordędze zdołałem uwolnić ręce, rozwiązałem sznury, a potém uwolniłem i drugich braci. Widno hiszpany w winie zadali wszystkim nam śpiączkę. — Francuzów wymordowali — a nas tylko powiązali. Dziwno nam było skąd taka łaska — ale podoficer znalazł kartkę, a w niéj napis: „niech żyją polacy, obrońcy Najświętszéj Panny.“ Dopierośmy się zmiarkowali. Pochowawszy biednych francuzów, wsiedliśmy na konie, których francuzi nie zabrali i powróciliśmy do obozu

Kiedyśmy wrócili do obozu, wysłano zaraz wojsko do wsi kędy francuzi tak marnie wyginęli, ale to się wszystko na nic nie zdało. Wieś była pusta jak wymiótł, karczmarz znikł i wszyscy mieszkańcy; klasztór przeszukano po wszystkich piwnicach i strychach; nic nie znaleziono. Widno wszycy umknęli. Taka to była nasza wojna w Hiszpanji.

Cztery lata trwała ta wojna z górą, a coraz gorzej nam się niepowodziło. Cesarz pobił austrjaków, choć dużo wojska stracił, bo wojna była zacięta, przecież na tej wojnie dobrze wyszedł, bo ożenił się nawet z córką cesarza austrjackiego i do księstwa też Warszawskiego przybył duży szmat kraju, przez austrjaków oddany, ale w Hiszpanji szło coraz gorzej.

Zrazu po wojnie austrjackiej roku 1809, przyszło dużo wojska francuzkiego, więc anglicy umknęli, a hiszpanie nie śmieli się pokazywać, tylko nas ukradkiem szarpali, ale w trzy lata potem wyprawił się Napoleon naprzeciw Rosji. Zebrał ogromne wojska i z Hiszpanii dużo sił odciągnął, ale mu tam bardzo źle poszło. Z początku szedł naprzód i dosyć mu się wiodło, aż zaszedł do Moskwy, chcąc tam przezimować. Tymczasem sami mieszkańcy Moskwę spalili i Napoleon musiał cofać się napowrót. Tu dopiero powstał cały naród rosyjski, mrozy wygubiły większą połowę wojska Napoleona, inni w bitwach poginęli, innych w niewolą pobrano, mało co się zostało i powróciło do Francji, a sam cesarz cichutko wyniósł się przez Warszawę i Drezno do Paryża.

Blizko pół miljona ludzi w tej wojnie zginęło. Popytajcie się starych gospodarzy, toć oni pamiętają tę wojnę francuzką, bo wojsko i tam i napowrót przez naszą ziemię ciągnęło.

Ma się rozumieć, że jak z hiszpanami większa część wojska francuzkiego wymaszerowała, tak i hiszpanom ducha przybyło i anglicy zaraz powrócili i nacisnęli społem strasznie francuzów, aż ich w końcu z Hiszpanji wygnali. Na nic się 'zdało przelanie tyle krwi i wygubienie tylu ludzi.

Ja bom tego wszystkiego już nie oglądał. W jednéj bitwie obskoczyli mię angielscy dragoni ze wszystkich stron, a chociażem napróżno nie wywijał szablą, zabrali mię do niewoli. Oj ciężka to była niewola i póki żyć będę, nigdy nie zapomnę, bo mi się dobrze dała we znaki.

Anglicy popędzili nas do Portugalji, sąsiedniego kraju hiszpanom. Było nas więcej jak trzysta z rozmaitych pułków, ale sami francuzi, kilku niemców i jeden ja polak, jak sierota pomiędzy obcymi.

Drogę trzeba było odbywać piechotą, bo mi zaraz w bitwie konia zabrali, karmili nas bardzo licho, a pędzili ostro. Gmin hiszpański zbiegał się zewsząd, wymyślał na nas i nieraz byłby nas zamordował, gdyby nas anglicy nie bronili. Tak pędzono nas aż nad brzeg morski; ja com w życiu nigdy morza nie widział, zdziwiłem się strasznie, ujrzawszy taką massę wody. Jak spojrzałeś w dal, to nic, tylko woda i niebo, a okręty jakby kaczki po niej pływają. Woda nie stoi tak spokojnie jak na stawie, albo na rzece, ale ciągle się kołysze, fala za falą bije, aż okropnie patrzeć.

Staliśmy w mieście Lizbonie, portugalskiéj stolicy przez miesiąc, ale przez ten czas ani nosa na ulicę nie było wolno wysadzić. Wpakowali nas do jakiegoś ogromnego klasztoru a tam leżałeś na zgniłéj słomie i żyłeś ladajaką strawą, bo tylko jałowym grochem długim czyli fasolą, rzadko kiedy dali kawałek chleba, a portugalczyki, którzy nas jako i hiszpanie nie cierpieli, zbierali się codzień pod klasztór, wymyślając nam i odgrażając się, że nas wszystkich wymordują.

Nareszcie w miesiąc potem, Anglicy wpakowali nas na okręt i wywieźli na morze. Zpoczątku myśleliśmy, że nas wiozą do Anglji, ale zamiast tam, popłynęli z nami na morze śródziemne przez cieśninę Gibraltarską, która oddziela Europę od Afryki i wysadzili na niewielkiéj wysepce zwanej *Kabrerą*.

Tam byliśmy co prawda swobodni, wolno nam było chodzić po całej wyspie, ale zato na morzu pływały okręty angielskie, ostro pilnując, żeby który nie uciekł. Wysepka ta niewielka strasznie kamienista, bo prawie cała z kamienia, żadnego nie wydaje zboża, tylko liche trawy i krzaki. Żywność dowozili nam z innej wyspy Majorki, ale jak czasem była burza na morzu, i okręt nie mógł dopłynąć, tośmy okrutny głód cierpieli. Takiej biedy jak na Kabrerze, nigdym w życiu swojem nie doznał.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Do ziemi rodzinnej.

Ziemio ma rodzinna, — czemuś mi tak miła?
Bo w tobie się mieści jakaś dziwna siła,
Która nas przyciąga, tak znęca ku tobie,
Że tęsknić za tobą wypadnie i w grobie.

A gdy wspomnę sobie, że tu polskie plemię,
Toś droższa nad wszystkie na świecie nam ziemie;
Tu pszeniczka rośnie, tam chaty wieśniacze,
Tam garbi się wierzba, a tu brzoza płacze.

A gdy wspomnę nadto stare nasze dzieje,
To się coś dziwnego tak do serca leje,
Że radby cię człowiek do piersi przyłożyć,
Szczerem uściśnieniem przywiązanie złożyć.

A gdy wspomnę sobie, żem się tu urodził,
Kędy przodkom moim Pan Bóg dolę słodził,
Kędy z wolą Jego człek kiedyś tu legnie,
To mię to tak wzrusza, że mi łza wybiegnie....

Gdzież taka gościnność, szczerość, piękna zgoda?
I zwyczajów naszych nie wypędzi moda;
Także strój nasz stary nie łatwo się zmienia,
Boć to przecie cecha naszego plemienia.

A choć tu są piaski i nie wielkie miasta,
To przecie w nas miłość ku tobie wciąż wzrasta,
Bo tu ojców kości, a to skarby nasze,
A gdzie spojrzym tylko, wszystko swojskie, lasze.

Więc ziemio rodzinna — dla tegoś tak miła,
Bo w tobie się mieści jakaś dziwna siła,
Która nas przyciąga, tak zręcznie ku tobie,
Że tęsknić za tobą wypadnie i w grobie!..

Józef z Bochni.

Wezwanie.

Zakukała kukułeczka tam w borze, hej w borze,
Kto chce z ludzi mieć pieniądze, niechaj w polu orze.

Kto z was pole, braciszkowie, będzie miał obsiane,
To wystarczy mu na buty, na piękną sukmanę.

A gdy pójdziesz do karczmiska zamiast pójść na rolę,
To odbeczysz potem, bracie, za taką swawolę.

Pędźże woły, wciągże pługi, wezwij przytem Boga,
Kraj zagony, a minie cię pewnie dola sroga.

A gdy przyjdziesz do pieniędzy, to tak uczyń, bracie,
By cię łatwo nie odbiegły, zachowaj je w chacie.

Na drugą ci za to wiosnę kukułka zakuka,
Że ubóstwo do twej chaty nie łatwo zapuka.

Pracuj, bracie, i oszczędzaj, tak ci szczerze radzę,
A do karczmy nie zaglądaj, miejże na uwadze.

Póki młode świeci słońce, daléj do roboty,
A chociaż się pot lać będzie, ty nie dbaj na poty.

I kukała kukułeczka tam w borze, hej w borze,
A tu w polach wszędzie orzą, mój Boże! mój Boże!

Będzie radość w każdéj chacie, kiedy przyjdzie zima,
Oj kochani braciszkowie! nic nad pracę nie ma!

Józef z Bochni.

O stowarzyszeniach.

(Dokończenie.)

Kiedy już stowarzyszeni mieli, jak już wiemy, zasoby pieniężne tak wspólne całego towarzystwa, jak i własne każdego zosobna ze stowarzyszonych, rzucili się do większych przedsiębiorstw. Założyli młyn wodny, a na koszta założenia i prowadzenia tego młyna, każdy ze stowarzyszonych złożył po 50 reńskich. Z początku niepowodziło im się, bo po trzech miesiącach okazało się, że stracili przeszło 1000 reńskich. W drugich trzech miesiącach stracili jeszcze więcéj, bo przeszło 3000 reńskich. Straty te ogromne przeraziły ich bardzo i już chcieli nawet zaprzestać prowadzenia młyna, ale był między nimi jeden taki, który dodał im ducha i do dalszéj zachęcił pracy. Usłuchano dobréj rady, prowadzono rzecz daléj. Na drugi rok uzyskano czystego dochodu 3360 reńskich, a odtąd przedsiębiorstwo tak się wzmagało, że pierwotny młyn wkrótce niewystarczał, i w r. 1855 wystawiono wielki młyn parowy o 15 kamieniach, z zastosowaniem najnowszych i najlepszych maszyn i urządzeń. W drugim kwartale r. 1857 obrot wynosił przeszło milion pięćdziesiąt reńskich, a dochód kwartalny 42.100 reńskich. Odpadków z młyna używa się dla bydła, karmionego dla jatek założonych przez towarzystwo.

Zachęceni tak świetnem powodzeniem młyna parowego, w r. 1857 założyli pionierzy nowe przedsiębiorstwo, a mianowicie przędzalnię. Ta przędzalnia tak wielce się opłacała, że już w pierwszym roku było blisko 9000 reńskich dochodu. Następnie tak się rozwijać poczęła, że w r. 1864 było czystego zysku 72 tysiące reńskich.

Teraz pomyśleli robotnicy nad tem, jakby urządzić sobie mieszkania zdrowe i wygodne. Otóż wybudowali domy; a mieszkania rozdzielili między siebie tak, że każdy za mieszkania płacić musiał, a potem stawał się częściowym właścicielem domu, w którym mieszkał. Pomyślano także o tem, ażeby w razie choroby jak najtaniéj dostarczać sobie lekarstwa i mieć własnego lekarza. Następnie posuwali się w czynnościach swoich coraz daléj, coraz nowsze zakładali przedsiębiorstwa, które im i zysk ogromny przynosiły, i dawały sposobność do zaoszczędzania zarabianych pieniędzy.

W skutek tych zabiegów i téj wytrwałości robotników rochdalskich, niegdyś małe miasteczko Rochdale, wzrosło w duże miasto, bo najwięcej budynków powystawiali robotnicy sami. Robotnicy ci, mieli pierwotnie jak już wiemy, jeden mały sklepik, w którym było trochę mąki i masła. Dziś mają już kilkanaście wielkich sklepów, w których wszystkiego dostanie. Wszystkie domy, w których znajdują się sklepy, są własnością robotników.

Skoro tylko stowarzyszenie w któréj części miasta otworzy sklep nowy, urządza przy nim zaraz czytelnię dla swych członków. Czytelnie te, urządzone są w sposób bardzo prosty i tani, a w środku miasta znajduje się główna czytelnia, w której w r. 1867 było przeszło siedm tysięcy rozmaitych pożytecznych książek.

Majątek stowarzyszenia wynosił w r. 1867 jeden miljon sto czterdzieści tysięcy reńskich, a dochód z jednego kwartału w tym roku wynosił 97 tysięcy reńsk.

Oto są skutki wytrwałości, pracy i rozumu tych robotników, którzy w r. 1844 rozpoczęli działanie, mając w kieszeni zaledwie 280 reńskich gotówki. Z początku należało ich do stowarzyszenia 28, a obecnie jest ich przeszło sześć tysięcy. Przy zawiązaniu stowarzyszenia, liczyli swój majątek zaledwie na setki, obecnie mają go przeszło miljon reńskich. Byli niewykształceni, ciemni, dziś mają biblioteki i czytelnie, w których nabrali i nabierają oświaty i wiedzy.

Oto przykład, do czego dochodzi się przez stowarzyszenie, przez pracę, oszczędność, wytrwałość.

Czyż mielibyśmy być gorsi od owych 28 robotników?

(Podług „Gminy“ czasopisma wychodzącego we Lwowie.)

Przegląd polityczny.

Wiedeń. W miejsce tych trzech ministrów, którzy ustąpili ze swych posad, już innych trzech wybrano, mianowicie w miejsce hrabiego Taaffego, który był ministrem obrony krajowej, zamianował Naj. Pan jenerała Wagnera. W miejsce hr. Potockiego który był ministrem rolnictwa, zamianował Naj. Pan p. Doktora Banhansa, a p. Stremajer mianowany został ministrem wyznań i oświaty. Inni ministrowie pozostaną jak byli.

Najważniejszą sprawą w radzie państwa jest obecnie rezolucja galicyjska. Wybrano z całej Rady państwa 24 posłów, który stanowią wydział do roztrząsania tej sprawy. Dnia 8 b. m. odbyło się pierwsze posiedzenie tego wydziału rezolucyjnego, na którem obecni byli z ministrów pp. Hasner, Giskra i Brestel. Najprzód członek wydziału p. Demel zapytał prezesa ministrów, jakie rząd w téj sprawie zajmuje stanowisko?

Na to odrzekł prezes ministrów p. Hasner, że rząd chce załatwić rezolucję jeszcze podczas obecnych obrad rady państwa. Następnie posłowie polscy, którzy do rezolucyjnego wydziału należą, chcieli zaraz przystąpić do obrad nad pojedyńczemi punktami rezolucji. Jednak panowie ministrowie powiedzieli, że pierwéj chcą mieć rękojmię, że kraj nasz i sejm zgodzi się na to, co nam rząd nada. Na to słusznie odpowiedzieli posłowie nasi, że oni nie mogą dawać żadnéj rękojmi, po najprzód nie wiedzą jeszcze co rząd nadać nam zamyśla, a powtóre nie mają prawa działać na swoją rękę, kiedy sejm uchwalił rezolucję, a jako delegatom w radzie państwa polecił przyprowadzenie tej rozolucji do skutku. Delegaci więc sejmu naszego nie mają prawa zmieniać uchwał sejmowych. Jednem słowem powiedziawszy, ministrowie pragną aby delegacja nasza kupowała kota w worku. Obrady toczą się ciągle, a co z nich wypadnie, zobaczymy późniéj.

Francja. Donosiliśmy dawniej jeszcze jak to naród francuzki niekontent z cesarskich rządów, innych praw się domagał. Francuzi są narodem bardzo ruchliwym, i zawsze lubią coś nowego, a przy każdej sposobności, jaka się nadarzy, robią zbiegowiska uliczne i hałasują bez miary. Jest we Francji jeden człowiek krzykacz wielki, co się nazywa Rochefort (czytaj Roszfort). Ten Rochefort występował zawsze przeciwko rządom cesarskim i pismem i słowem, a że się to francuzom bardzo podobało, więc go wybrali na posła do sejmu. Tu już nie żałował sobie Rochefort języka, a co mu na myśl przypadło, to gadał przeciwko cesarskim rządom. Jednak zadaleko się posunął, bo zaczął otwarcie wzywać francuzów do rewolucji; zatem go i zasądzono na sześć miesięcy. Francuzi zaczynają przekonywać się powoli, że krzyki i hałasy do niczego nie prowadzą, więc też i na Rocheforta nie zważają już tyle. Dzieją się tam jeszcze co prawda tu i owdzie zbiegowiska publiczne, ale zdaje się, że nie długo zupełny spokój nastąpi.

Moskwa. Ztamtąd dochodzą wieści o ciągłem zbrojeniu się moskali i o gromadzeniu wojska na tureckiej i austryjackiej granicy. Przy tych zbrojeniach spieszą się bardzo moskale, jakby już wojna wisieć miała nad głową. Fortece wzmacniają i zaopatrują je we wszystkie potrzeby, sprowadzają nowe karabiny z Ameryki i z Niemiec.

Z drugiej strony naród moskiewski, widać sprzykrzył sobie nadużycia carskiego rządu, bo oto, po całym kraju rozeszły się odezwy do ludu, wzywające do powstania przeciwko carowi. Odezwy te tak są burzliwe i tak chciwe krwi, że drugiej takiej odezwy pewnie nie było na świecie. Wiadomo wam moi kochani czytelnicy z drugiego numeru Włościanina, jaka to w Moskwie panowała niewola, którą dopiero 1861 roku a więc przed 9 latami zniesiono. O tem zniesieniu niewoli wspomniona odezwa tak się wyraża:

„Car był pijany, kiedy podpisywał ukaz (rozporządzenie) odczytany nam 19 lutego 1861 r. Cóż powiada ten ukaz? Oto: chłopi! jesteście wolni ale pod jednym warunkiem, że nie będziecie posiadać piędzi ziemi, ani roli, ani lasów. Szczęściem dla honoru cara, że był pijany podpisując ten ukaz. Popi nam mówią: car jest bogiem ziemi, a urzędnicy pełnią przy nim obowiązki aniołów. Myśmy się cieszyli, że możemy uginać karki. Na nieszczęście nasze mamy liczną rodzinę carską, która wiele wyżera, a jeszcze więcej wyjadają dworacy. Głupcami jesteśmy, że damy się rządzić przez tych, co się starają własne napełniać kieszenie. Nasz car i wielcy książęta są niezdolni do rządów, lubią przebiegać po wielkich drogach i słuchać okrzyków „hurra“ i patrzeć czy zręcznie łapiemy nasze czapki wyrzucane w górę na znak radości. Mamy tylko jedną rzecz do zrobienia, a to wydusić naszych carów jak psów. Niema litości. Trzeba żeby wszyscy.... zginęli.

„Trzeba podpalić ich miasta, trzeba oczyścić kraj w ogniu. Ponieważ mają armaty i karabiny, których my

nie mamy, więc tylko ogniem możemy walczyć i zwyciężyć. Skoro w popiół obrócimy mury, za któremi ukrywa się ta zgraja, to przecież wtedy wyzdycha ona z głodu.”

Jak rząd moskiewski zmiarkował co się święci, jak pochwycił te odezwy między ludem, tak zaraz zaczęto robić poszukiwania, zaczęto śledzić i aresztować, aż nareszcie dowiedziano się, że bardzo wielu ludzi, a między nimi nawet, wielcy panowie i wysocy urzędnicy, należą do spisku. W dzień wstąpienia cara na tron, to jest 19 lutego miała nastąpić rzeź. Cała rodzina carska miała być wymordowaną, a w skutek tego car moskiewski wyjechał ze swej stolicy Petersburga do miasta Rygi, które jest nad morzem.

Rzym. Obrady ojców duchownych odbywają się co kilka dni regularnie i niektóre już uchwalone punkta będą niedługo ogłoszone. Ponieważ to jest sprawa duchowna a zatem wielkiej wagi, toż nie można obrad tak prędko kończyć, jak w innych mniejszej wagi rzeczach. — Wszyscy biskupi złożyli przysięgę, że w tajemnicy zachowają wszystko co się mówi na Soborze, zatem to co gazety piszą o obradach Soboru, jest tylko domysłem, a często nawet fałszywym domysłem. — Chociaż to już przeszło 2 miesiące jak sobór został otwarty, przecież choć późno, podajemy wam kochani czytelnicy opis otwarcia soboru, który pewna polka bawiąca w Rzymie, w Tygodniku katolickim pomieściła:

„Między 8 a 9 przybył Ojciec św., niesiony na swojej Sedia Gestatoria (wielkie krzesło pod baldachimem czerwonym). Było wystawienie Najświętszego Sakramentu, szedł więc piechotą do grobu Apostołów i tam się modlił. W czasie procesji były chóry prześliczne; opisać jej nie mogę, bom ją ledwo widzieć mogła. Po niej udał się Ojciec św. do kaplicy, w ktorej się odbywają sesje soborowe. Zdawała mi się ta kaplica mała, dopiero jak biskupi się w niej umieścili, a było ich prawie 700, pojęłam jej wielkość, bo jeszcze i na drugie tyle było miejsca. Ta jedna z 12 kaplic, daje ona wyobrażenie o wielkości kościoła. Trochę mi żal było, że biskupi łacińscy mieli wszyscy białe proste kapy, galonem tylko obszyte i infuły podobne. Wschodnich tylko biskupów kapy odznaczały się wielką pięknością i bogactwem, niektóre całe złotem haftowane, z drogiemi kamieniami. Na głowie mieli najrozmaitszych form infuły, a nawet i nie infuły, bo jeden tylko obręcz złotą miał na głowie, a niektórzy korony wysadzone drogiemi kamieniami; chińscy biskupi mieli wiszące za głową warkocze, inni dziwne bardzo jakby kapelusiki, a jeden był z woalem. Cery także najrozmaitsze, od najbielszej aż do czarnej. Nie mogłam się im napatrzeć, a powiększającem szkłem, bo z bardzo daleka. — Było i co słuchać, najprzód „Veni Creator,“ śpiewany przez same głosy męzkie i młodych chłopaków, bez organów, ślicznie. — Potem odprawił Mszą św. kardynał Patrizzi. O muzyce byłabym przed parą dniami powiedziała, że nigdy piękniejszej nie słyszałam, ale byłam na nabożeństwie Bożego Narodzenia, a ta muzyka była jeszcze tak wiele piękniejsza, że o niej napiszę w drugim liście. Kazanie miał Arcybiskup Trydencki. Po Mszy Ojciec św. odśpiewał modlitwy, głosem tak pięknym, tak silnym, że można było uwierzyć, że to głos młodego człowieka. Nie mogę opisać wszystkich ceremonji, bo siedzieliśmy z boku tak, że w głębi kaplicy widzieć nie można było. Ale parę razy mnie mój mąż zaprowadził w miejsce, zkąd można było mieć pogląd na całe zebranie. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie mi zrobił ten widok — coś tak pięknego, wspaniałego że żadne opisy wyobrażenia o tem dać nie mogą. Najprzód i na samym przodzie ogrom księży, zakonników z wszystkich zakonów, kamerierów, urzędników papiezkich, których nawet nazwać nie umiem. — Po obydwóch stronach, w kilku rzędach, na ławkach coraz wyższych, w półkole, biskupi z infułami na głowie, a dopiero w głębi na środku Ojciec św. na tronie, otoczony kardynałami. — Ta kaplica, co mi się zdawała z początku mała, jest tak wielka, że wcale rysów Ojca św. dojrzeć nie mogłam. Ale dziwnym trafem zdarzyło się, że kiedym doszła do miejsca, zkąd go widzieć mogłam, czytał właśnie Ewangelję z wielkiej księgi, świecami mocno oświeconéj, któréj nie widziałam, ale z której blask odbijał się na twarzy Ojca św., tak że nadzwyczajnem światłem zdawała się jaśniejąca. Ten sam blask odbijał się i na infule złotej, ale i tej infuły nie było widać, tylko jakby promień, który raz wydawał się jak te ogniste języki, co napełniły Apostołów Duchem św., raz przypominał promień cudowny nad głową Mojżesza, po widzeniu Boga na górze Sinai. — Coś było uroczego, widziałam wszystkich w koło siebie, jakby oczarowanych. — Co do mnie, jak tylko oczy zamknę, i chcę sobie przypomnąć, com widziała w tym wielkim dniu, przedstawia mi się twarz Ojca św. jaśniejąca i ten promień nad głową Jego.

W końcu Ojciec św. odczytał Allokucję (która była umieszczona w dziennikach) głosem tak mocnym, że gdyby nie po łacinie, mimo niezmiernego oddalenia, byłabym choć chwilami słowa Jego rozumiała. — Jeszcze śpiewano i odmawiano modlitwy, po których Ojciec św. zapytał się biskupów, czy zgadzają się i pragną rozpocząć Soboru? na co wszyscy odpowiedzieli „Placet.“ — Na zakończenie śpiewano Litanję do Wszystkich Świętych: jeden młody piękny głos śpiewał wezwania, a 6,000 głosów odpowiadało: Ora pro nobis. Było to przepyszne.

Ojciec św. wyszedł bocznemi drzwiami, biskupi przeszli przez kościół, udając się do zakrystji, a jam się przecisnęła bliziutko miejsca, przez które przechodzili, tak żem ich wszystkich doskonale widzieć mogła.“

Turcja. Ztamtąd nadchodzą także dość wojenne wieści. Jak narody sąsiednie od Dalmacji zobaczyły, że Dalmaci powstali przeciwko rządowi Austryjackiemu, tak też te narody zaczęły nieprzyjaznie przeciwko rządowi Tureckiemu powstawać. Rząd moskiewski, któryby chciał cały świat zawojować, czycha tylko na to, ażeby w Turcji roz[illegible] kraje. Otoż teraz moskale zaczynają dodawać ducha tym narodom słowiańskim, które są niekontente z toreckiego rządu, i podmawiają je do oporu przeciwko turkom.— Turcy więc widząc niebezpieczeństwo, widząc że na ich granicy moskale zbierają swoje wojską, zbroją się i również swoje wojska nad granicą moskiewską stawiają.—

KALENDARZ.

Luty ma dni 28.

	Dnie	Święta rzymskie.
17	Czwartek	Sabina Biskupa
18	Piątek	Konstancyi Panny
19	Sobota	Konrada Wyz.
Ewangelia u Łuk. św. w rozdziale 8. — O nasieniu i wielorakiéj roli.		
20	Niedziela	**7 Mięsopustna** Leona Pap.
21	Poniedziałek	Eleonory Panny
22	Wtorek	Kated. ś. P. w Antio. i Rom.
23	Środa	Florentego Wyz.
24	Czwartek	Macieja Apost.
25	Piątek	Wiktoryny i Wiktora MM.
26	Sobota	Alexandra Biskupa
Ewangelia u św. Łuk. w rozdz. 18. — Jezus przepowiada swą mękę.		
27	Niedziela	**Zapustna.** Anastazyi Panny
28	Poniedziałek	Romana Opata

WSCHÓD I ZACHÓD SŁOŃCA.

20. lutego wschodzi o godzinie 7, zachodzi na kilka minut przed wpół do 6tej. Długość dnia wynosi 10 godzin i 18 minut.
25. lutego wschodzi na kilka minut przed 7mą, zachodzi po wpół do 6tej. — Długość dnia 10, godzin i 36 minut.

Ostatnia kwadra wypada 22 o wpół do 8méj po południu.

Rozmaitości.

Szczególne wypadki śmierci. 27 zeszłego miesiąca Mikołaj Krawczyszyn z Wańkowic w powiecie Rudeckim, pojechał swoim zaprzęgiem na targ do Sambora i nie powrócił po domu. Szukano go kilka dni bezskutecznie i dopiero 2 tego miesiąca, znaleziono go zmarzniętego wraz z parokonnym zaprzęgiem, w rzece Strwiąż pod Pienianinami. — W skutku nadzwyczajnych mrozów ponieśli śmierć przez zmarznięcie Hryń Iwanus, Wincenty Waligóra, wyrobnicy z Bohorodczan, a w Śniatynie Michał Łazarenko włościanin, którego z szynku pijanego wypędzono. Ponieśli jeszcze śmierć przez zmarznięcie: W Uhrynowie powiecie Stanisławowskim, znaleziono zmarzniętą Anastazję Saweczuch, która powracając ze Stanisławowa do domu, była pijaną. — Marjanna *Kwiecień* wracając wieczorem z Kleparowa pode Lwowem do strażnicy kolejowej, gdzie syn jej był w służbie, zmarzła w drodze, nazajutrz znaleziono ją bez duszy. Pisarz gminy z Zadubrowiec w powiecie Śniatyńskim, Bazyli Pohaczajko, wracając do domu zabłąkał się w polu i poniósł śmierć przez zmarznięcie. Józef Rościeński z Jadownik w powiecie Brzeskim, wracając 5 lutego z Okocima do domu rozmarzony wódką zmarzł w drodze. W Rozworzanach w powiecie przemyślańskim dwie kobiety, Barbara i Anastazja Proczyszynowe zmarły skutkiem zagorzenia w nocy dnia 6 tego miesiąca. W Chłopicach w powiecie jarosławskim, żona włościanina Marcina Wrochy w nieobecności męża zostawiła w izbie dwoje małych dzieci i poszła do miasta. Powróciwszy zastała izbę pełną dymu a dzieci bez życia. Sądzą że starsze dziecko igrało ogniem palącym się w piecu, musiało go zanieść na łóżko, gdzie się bawiło młodsze dziecko, od węgla zajęła się pościel i wraz z korzuchami spłonęła, a dzieci udusiły się w dymie. — W domu wyrobnika Piotra Księgi w Podzanieczku, w powiecie buczackim, pięć osób poniosło w nocy śmierć, skutkiem zawczesnego zatkania pieca.

Zabójstwo. W Brzezinach w powiecie Ropczyckim d. 5 zeszłego miesiąca, Antoni Baran przed kilku tygodniami wypuszczony z więzienia, gdzie odsiadywał karę za zbrodnię kradzieży, udał się do swego sąsiada Wojciecha Panochy i upominał się o jakieś pieniądze, których jednak tenże nigdy od Barana nie pożyczał. Z tego powodu powstała sprzeczka, przyczem Baran pochwycił Panochę i udusił go. — Na krzyk Panochy zbiegli się sąsiedzi i myśląc, że Barana złapano na kradzieży, rzucili się na niego i zbili go tak, że pod razami skonał.

Rada Powiatowa w Rudkach, zaprenumerowała 6 egzemplarzy „*Włościanina*“, za co serdeczne składamy podziękowanie.

Książki pożyteczne poleca się.

Andrzej Frąckowiak, włościanin wzorowy, czyli Nowa-wieś urządzona; powieść z życia ludu wiejskiego opowiedział i objaśnił różnemi rysunkami *Jan Skowronek.* Warszawa w ósemce 207 str. i 2 arkusze planów.

Pod tym tytułem wyszła z druku książka, która obejmuje dokładną i na doświadczeniu opartą naukę poprawnego gospodarstwa wiejskiego, dla włościan. Andrzej Frąckowiak, poparty światłemi radami p. Dobrowolskiego zacnego a doświadczonego gospodarza, urządza swoje gospodarstwo, obejmujące 30 morgów roli, stawia budynki, poprawia grunta, drenuje łąki, zakłada ogród, słowem urządza z szczupłego kawałka ziemi folwarek, jakiego nie powstydziłby się dziedzic tysiąc morgowej włości. W urządzeniu tem nietylko wspomaga go p. Dobrowolski, ale i własne doświadczenie nabyte podczas służby w wojsku. Frąckowiak nie żałując pracy, przychodzi do dobrego mienia i przykładem swoim zachęca wieś całą, która z jego i p. D. pomocą wzorowo urządza swe gospodarstwo, przychodzi do dobrego bytu i uznania.

Dziełko to polecamy jak najgoręcej nie tylko włościanom, ale i gospodarzom na większych majątkach; znajdą tam bowiem w przystępnej formie opowiedzianych wiele praktycznych rad gospodarczych. Książka ta powinna być w każdej szkółce ludowej, w każdym dworze, w każdej chacie włościańskiej.

Cena książki 1 złr., a dostać jej można w księgarni wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych w Krakowie, lub za pośrednictwem redakcji „Włościanina“.

Obrazki z życia zwierząt, spisał Dr. E. Janota, nakładem wydawnictwa czyteli ludowéj w Krakowie *Powiastki bajki i wiersze różne,* ś. p. Stanisława Jachowicza, nakładem wydawnictwa czytelni ludowej w Krakowie, w dwóch książeczkach.

Ceny zboża		Lwów		Kraków		Jarosław	
		Złr.	c.	Złr.	c.	Złr.	c.
Pszenicy . . .	korzec	8	10	9	50		
Żyta	„	4	15	5	50		
Jęczmienia . . .	„	4	60	5	25		
Owsa	„	3	10	3	25		

PP. Prenumeratorowie, którzy całoroczną przedpłatę nadeszlą z góry, odbiorą z końcem lutego na premium portret „T. KOŚCIUSZKI.“

Dotychczasowi pp. Prenumeratorowie, jeżeli sobie życzą otrzymać premium, raczą dosłać tyle, ile potrzeba do wyrównania całorocznéj przedpłaty.

Właściciele: Czesław Pieniążek, Bronisława Gabryelska. Wydawca i redaktor odpowiedzialny Czesław Pieniążek. — *Czcionkami Karola Budweisera.*